

Furutech CF-080 Damping Ring

16.08.2012 22:00 | Fr@ntz w Artykuły ★★★★★

Był już czarodziejski pierścień Arabelli, „Pierścień Nibelunga”, nawet „Władca Pierścieni” był, ale audiofilskiego pierścienia jeszcze nie było. A teraz jest – dostępny w ofercie Furutecha psuje krew i samopoczucie nie tylko audiosceptykom, ale i twardo stąpającym po ziemi audiofilom, dla których wszystko ma swoje granice. Granice po przekroczeniu których zaczyna się audio-voodoo, szamanizm i błędzenie w oparach absurdu. Z podobnego założenia wyszedłem w momencie, gdy zobaczyłem tytułowy pierścień w dziale nowości tego szanowanego producenta. Czy tych Japończyków do końca po...gięło? Demagnetyzer do winyli za ponad 10 kłz zdzierzę, płyn poprawiający kontakt za siedem stów, proszę bardzo, ale obrączka na wtyczkę IEC? Sorry, ale dziękuję, stoję. Problem w tym, że Polski dystrybutor Furutecha ma godny pochwały zwyczaj nie sprzedawania niczego, do czego osobiście nie ma przekonania. Tak też było i tym razem. Nie dość, że sam CF-080 przetestowałem, to był na tyle perfidny, że mi to akcesorium z pogranicza jawy i snu przestał. Oczywiście po rozpakowaniu przesyłki nie omieszkałem serdecznie się uśmieć i (w myślach) dość dosadnie określić Jego poczucie humoru. Skoro jednak pierścień otrzymałem marnotrawstwem i niegrzecznością z mojej strony byłoby go nie sprawdzić. Kilkadziesiąt sekund zabawy minikluczykiem i Furutech wylądował na wtyku sieciówki Organic Audio, która również wyszła spod tych samych rąk i możliwe, że z tej samej fabryki, co obiekt niniejszego testu.





Ponowne odpalenie wzmacniacza i ... o rzesz ... w tym momencie z mych ust padła trzysylabowa fraza, której ośrodkami sylab były kolejno samogłoski "u-a-a". Powyższy, niezwykle wyszukany opis autorstwa dr. Artura Czesaka pozwala mi w sposób jak najbardziej zbliżony do stanu rzeczywistego przekazać czytelnikom to, co moją paszczę opuściło a jednocześnie nie narazić się na potępieńcze spojrzenia wiecznie czujnych strażników czystości językowej i wszechobecnej poprawności politycznej. Krótko mówiąc mina mi zrzęda, uśmiech zamarł na ustach a i wyraz twarzy z pewnością miałem nieszczęśliwy. Ale jak to? Ale czemu? WTF?*(ten skrót proponuję wyszukać sobie w google). Przecież to zwykły kawałek za przeproszeniem stalowej rury z naciągniętym peszelkiem z węglowej plecionki. Oczywiście jakość wykonania jest wzorcowa, co nie zmienia faktu, że nawet obróbka na nie wiem jak zaawansowanej obrabiarce CNC nie uczyni z tego prostego elementu ósmego cudu świata. Niestety zmiany spowodowane przez te cholerstwo nie były ani na granicy percepcji, ani podchodzące pod zarzucaną „słyszającym” autosugestię. One były po prostu fundamentalne, natychmiast zauważalne...no po prostu były i nie chodzi o zmianę jakiegoś tam aspektu, detalu, wycinka pasma szczególnie ukochanego przez konstruktorów. Nic z tych rzeczy. One dotyczyły całego pasma i wszystkich jego aspektów. Począwszy od mikro i makro-dynamiki a skończywszy na sposobie, precyzji kreowania przestrzeni, lokalizacji źródeł pozornych i zwykłej namacalności dźwięków. Zdaję sobie doskonale sprawę, że większość czytelników kreśli sobie w tym momencie kółko na czole dość jasno określające ich stosunek do mojego „bajkopisarstwa”, tylko zanim ten cholerny pierścien do mnie dotarł i zanim założyłem go na kabel sieciowy zrobiłbym dokładnie to samo. Problem w tym, że mam to чудо i niestety słyszę jego wpływ na brzmienie mojego systemu. Przykro mi niezmiernie, ale tak jest i nic na to nie poradzę. Próbując dociec przyczyn tego, jakby nie było chorego, stanu zacząłem węszyć i wertować katalog Furutecha. Kilka przymiarek, porównań i bingo! CF-080 to taka odmiana, a raczej ułamek, 3/4 wtyczki FI-50® PIEZO CERAMIC dla „oszczędnych”. Otóż FI-50® PIEZO CERAMIC kosztuje w detalu 1150 zł a CF-080 „jedynę” 375 zł. Mała rzecz a cieszy. W dodatku wymiana standardowych wtyków nie dość, że wiąże się z koniecznością rozbebesznia posiadanej konfekcji, to jeszcze dobrze by było, żeby osoba dokonująca takowej modyfikacji dysponowała, choćby podstawową, wiedzą z zakresu fizyki a prądu w szczególności. Przy „pierścieniu ” nie dość, że można być totalnym laikiem, to jeszcze przy ewentualnej odsprzedaży sieciówki demontaż „tuningu” nie powinien zająć więcej niż kilkanaście sekund. I w tym momencie wypadałoby poruszyć zagadnienie powtarzalności. Przecież odłączenie urządzenia z prądu poprzez wyciągnięcie kabla sieciowego i ponowne jego wpięcie powoduje zmiany w nazwijmy to „układzie potencjałów”, co mogłoby w dość logiczny sposób tłumaczyć słyszalne zmiany przed i po. Problem w tym, że każdorazowe założenie pierścienia a potem jego zdjęcie dawało powtarzalne zmiany. Zabawa w „jest / nie ma” miała równie głęboki sens jak włączanie i wyłączanie światła. Po prostu nie było miejsca na błędy, niepewność i zgadywanie. Tak jak nikt przy zdrowych zmysłach nie próbuje podważać różnic pomiędzy trybami triodowym a pentodowym, które oferują niektóre konstrukcje lampowe, tak i w przypadku obecności , bądź nieobecności testowanego pierścienia było podobnie.

Dla osób znających „firmowe brzmienie” produktów Furutecha sprawa akceptacji, przejścia do porządku dziennego, nad zmianami wprowadzanymi przez CF-080 będzie o tyle łatwiejsza, że są one w 100% zgodne z tym, do czego zdążyli się przyzwyczaić. Jest to po prostu kolejny z pasujących do siebie elementów układanki mającej dać w rezultacie kompletny obraz High-Endu.

Ten nużący i niemiłosiernie drenujący kieszeń proces potrafi czasem sprawić miłe niespodzianki. Najnowsze akcesorium dedykowane kablom sieciowym wydaje się być takim niedrogim, ale od razu słyszalnym drobiażdżkiem potrafiącym sprawić wiele radości i wnieść faktyczną poprawę brzmienia posiadanego systemu. Proszę jednak o chwilę uwagi i skupienia. Po założeniu pierścienia na wtyk IEC zmiany są ewidentne i idące w dobrą stronę, jednak jeśli ktoś liczy, że tanim kosztem z bądź

co bądź dobrej sieciówki np. FP-3TS762 z wtykami FI-28R / FI-E38R (którą dziwnym trafem posiadam i bardzo sobie chwalebę) uda mu się osiągnąć efekt zarezerwowany dla modelu Power Reference III, bądź nie daj Bóg Powerfluxa może się srodze zawieść. To niestety tak nie działa, nie da się zjeść ciastko i dalej je mieć. Można uzyskać poprawę w iluś tam procentach porównywalną do wymiany wtyku IEC na wyższej klasy, ale nadal będziemy posiadaczami tego samego przewodu. Cudów nie ma i nie ma się co ludzić, wystarczy przestać się oszukiwać, tylko usiąść i na spokojnie posłuchać. Tym bardziej, że jest czego. Dźwięk staje się bliższy, mniej nerwowy, mniej zaszumiony a przez to czystszy i bardziej energetyczny. To, co do tej pory było pokryte delikatnym nalotem, do którego można się było w sumie przyzwyczaić i po pewnym czasie uznać, że tak widocznie musi być okazuje się w rzeczywistości lśniąca, gładkie i mieniające się wielobarwnymi refleksami tańczącymi na jego powierzchni. Wszechobecny „audiofilski plankton” ma wreszcie szansę wyrwać się z szumu tła i stworzyć „aurę” otaczającą muzyków i ich instrumenty. Takie z pozoru nieistotne mikrodetale budują klimat nagrań, przekazują słuchaczowi informacje o akustyce i kubaturze pomieszczeń w jakich odbywała się sesja. Sprawiają, że albumy brzmią bardziej naturalnie, chciałoby się powiedzieć „analogowo”, gdzie dźwięki wygasają same a nie są „obciapywane” na komputerze. Po zastosowaniu pierścienia polecam odkurzyć zapomniane, stare nagrania Nat King Cole’a, Etty James, czy Louisa Armstronga. Bardzo możliwe, że irytująca do tej pory cyfrowa naleciałość niekoniecznie poprawnych realizacji i niechlujnie dokonywanych remasterów zostanie choć trochę zhumanizowana. Zacznie przypominać coś, co analogowcy znają jako szum płyty, taśmy.

Zadając sobie pytanie, czy warto było nausznie przekonać się o działaniu „magicznego” pierścienia bez chwili wahania mówię kategorię „tak”. Nie dość, że za cenę butelki dobrej whisky można zauważalnie poprawić możliwości własnego systemu, to jeszcze jest okazja do weryfikacji tezy, że każdy, nawet najmniejszy detal, najbardziej z pozoru błahe ogniwo potrafi odcisnąć swoje piętno na efekcie brzmieniowym całości. Tym bardziej zachęcam do prób z tego typu gadżetami. Ich działanie nie zawsze musi być pożądane, lecz eksperymentując poszerzamy własną wiedzę i poznajemy lepiej własny system.

Tekst i zdjęcia: Marcin Olszewski

Dystrybutor: RCM

Cena: 375 zł

Dane techniczne:

Średnica wewnętrzna 39,9mm

System wykorzystany w teście:

CD/DAC: Ayon 07s

DAC & konwerter USB/Coax: Hegel HD2

DAC: Burson Audio HA-160D; Auralic ARK MX+

Odtwarzacz plików: Olive O2M; laptop Dell Inspiron 1764 + JRiver Media Center

Wzmacniacz: Electrocompaniet ECI 5; MingDa MC34A; MingDa MC300-ASE

Kolumny: A.R.T. Moderne 6 ustawione na Soundcare Superspikes

Słuchawki: AKG K142 HD; AKG K518 DJ LE; Marshall Major

IC RCA: Antipodes Audio Katipo; Audiomago AS

IC XLR: LessLoss Anchorwave;

IC cyfrowe: Fadel art DigiLitz; Harmonic Technology Cyberlink Copper; Apogee

Wyde Eye; Monster Cable Interlink LightSpeed 200

Kable USB: Wireworld Ultraviolet, Wireworld Starlight; Goldenote Firenze Silver

Kable głośnikowe: Harmonix CS-120; Wyrewizard Spellbinder

Kable zasilające: GigaWatt LC-1mk2; Furutech FP-3TS762 / FI-28R / FI-E38R;

Organic Audio Power

Listwa: GigaWatt PF-2 + kabel LC-2mk2

Stolik: Missoni Audio Carpet Stradivari

Przewody ethernet: Neyton CAT7+

Akcesoria: Sevenrods Dust-caps

[c\) Klub.audiostereo.pl](http://c) Klub.audiostereo.pl)